

JEDNOSTKA WIDMO

Rozdział 21

Słońce.

Step.

Błękitne niebo bez ani jednej chmurki.

Prosta, asfaltowa droga, przecinająca ocean stepowej trawy.

My.

I nikogo innego.

Z daleka widać było bunkry, anteny, sporo na pierwszy rzut oka opuszczonych budynków, niemal małe miasteczko. Szlabany. Zasięki.

Wysoki płot, otaczający cały teren.

Stado krów.

Zatrzymaliśmy się. Popatrzyłam z niedowierzaniem na mapę. Według niej stałyśmy na prostej drodze. I droga owszem, była. I owszem, stałyśmy na niej. Tyle że od miejsca, w którym stałyśmy, droga przebiegała przez jednostkę wojskową. A o tym mapa już w żaden sposób nie wspominała.

Spokojnie spacerujące w środku stado krów i owiec rzuciło leniwe spojrzenia w naszym kierunku.

Może tylko na pierwszy rzut oka miejsce to jest opuszczone? Po wstępnych oględzinach całkiem solidnie wyglądającego, dwumetrowego ogrodzenia, zwieńczonego roladkami z drutu kolczastego postanowiliśmy nie sprawdzać jego trwałości na własnej skórze. Stałyśmy przy jednej z bram, obok nas powiewała rosyjska flaga. Budynki znajdujące się w oddali, za szlabanami i płotem, wydawały się zupełnie opuszczone. W zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty, nie licząc krów i owiec, które po kilku minutach znudziły się obserwacją dwóch dziwnych istot na rowerach, i wróciły do leniwego skubania tego, co jeszcze ze stepowej trawy pozostało.

Słońce paliło niemiłosiernie i zdawało się krzyczeć: zdecydujcie się wreszcie! Nie ma co tak stać!

Spojrzałam w lewo. Płot po horyzont i wąska ścieżka pod nim.

Spojrzałam w prawo- to samo.

Nie wiem, jak duży był to teren.

Postanowiliśmy drogą losowania zdecydować, w którą stronę pojedziemy. Końca ogrodzenia nie było widać ani w jedną, ani w drugą stronę. Ruszyliśmy więc w lewo, wzdłuż płotu.

Wyglądało na to, że zostało ogrodzone całe miasteczko. W środku znajdowały się domy i bloki, sporo pagórków, z których wystawały kominy i anteny i tylko jedna droga. Żadnych oznak obecności człowieka.

Może zupełnym przypadkiem trafiłyśmy na jeden z poligonów doświadczalnych?

Albo może te spacerujące w środku krowy wcale nie są prawdziwymi krowami, tylko zmutowanymi, rosyjskimi żołnierzami?

Może to wszystko to jakiś gigantyczny wojskowy eksperyment? A my jesteśmy teraz obserwowane przez przeklinających nas Rosjan siedzących w jednym z bunkrów?

Co to za dziouszki na rowerach?

Przecież właśnie mieliśmy odpalać naszą doświadczalną bombę!

Oj, jak to słońce grzeje w kask.

Chyba mózg mi się już zupełnie przegrzał, skoro widzę w krowie zmutowanego żołnierza.

Co stałoby się, gdybyśmy spróbowały przejść na drugą stronę płotu?

Czy nikogo oprócz nas nie dziwi, że nie ma przejazdu, drogą, która jak byk jest zaznaczona na mapie?

Odkąd zjechałyśmy z głównej drogi, nikogo nie widziałyśmy. Żadnego samochodu.

Chyba tylko my jesteśmy tak naiwne, aby zaufać kawałkowi zalaminowanego papieru, wydrukowanemu w Chinach i zaprojektowanemu przez człowieka, który prawdopodobnie na Kerczu w ogóle nigdy nie był.

Objechanie całej jednostki zajęło nam prawie czterdzieści minut. Trafiłyśmy z powrotem

na asfaltową drogę, która jakby nigdy nic wyłaniała się zza szlabanu i ogrodzenia. I znowu była tą samą, prostą, zwyczajną asfaltową drogą, niewinnie przecinającą trawiaste bezkresy, niezamierzającą tłumaczyć się z tego, że zniknęła na kilka kilometrów pod nieistniejącą wojskową jednostką. Rzuciłam ostatnie spojrzenie przez ramię.

Macie czasem takie uczucie, że nie do końca jesteście pewni czy to, co się dzieje, dzieje się na prawdę?

Może to przez słońce? Odwodnienie? Fatamorgana?

Dotknęłam płotu.

Nie. Stanowczo był całkowicie realny. Zrobiłam ostatnie zdjęcie. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Pośrodku niczego spotykaliśmy pasterza prowadzącego stado krów. Gdy usłyszał, że chcemy na stepie rozbić namiot, popukał się w czoło, pomruczał pod nosem coś o „dzikim zwierzu” i niebezpieczeństwie i wskazał nam kierunek, w którym mamy się udać, aby znaleźć schronienie na noc.

Trafiłyśmy do niewielkiej rybackiej wioski. Kilka domów, piaszczysta droga, biegające kury i spieczony kerczeńskim słońcem step dookoła. Wioska leżała dwa kilometry w głąb lądu, ale rybacy mieszkali nad morzem. Zjechaliśmy do ich zatoki. Trzy namioty nad brzegiem morza, dwa terenowe auta, pamiętający czasy II Wojny Światowej kontener mieszkalny z łóżkiem i kuchenką gazową.

Cudownie! Niczego więcej do szczęścia nam nie trzeba!

Skorzystałyśmy z zaproszenia i rozbiłyśmy swój namiot między namiotami rybaków. Postanowiłyśmy też skorzystać z tego, że w wiosce był sklep. Ale nie taki zwyczajny. W jednym z domów, w salonie, sprzedawano chleb, konserwy, słodczyce. Co kilka dni gospodarz przywoził z miasta najpotrzebniejsze artykuły. Wykupiłyśmy cały zapas chleba. Czyli dwa bochenki. Oraz konserwę z tuszonką, wodę i landrynkowo wyglądającą oranżadę.

Średniej świeżości chleb, galaretowata mięsna konserwa i ciepła oranżada? Wicie, co najbardziej kocham w wyprawach?

Nie, nie tuszonkę.

Kocham to, że człowiek bierze to, co przynosi mu droga. Co przynosi mu życie. Bez kręcenia nosem. Jest wdzięczny za każdy litr wody. Za każdy posiłek, każdą minutę. I za każdy piękny widok. Za równy kawałek ziemi, na którym postawi namiot tak, że w nocy nie wbija mu się w kręgosłup żaden kamień. Za deszcz. I za to, jak przestaje w końcu padać. Za słońce i cień. Za wiatr. Za każde spotkanie, rozmowę, znajomość.

To jest klucz do szczęścia.

Staram się go chować w sakwach. I używać każdego dnia po powrocie do domu.